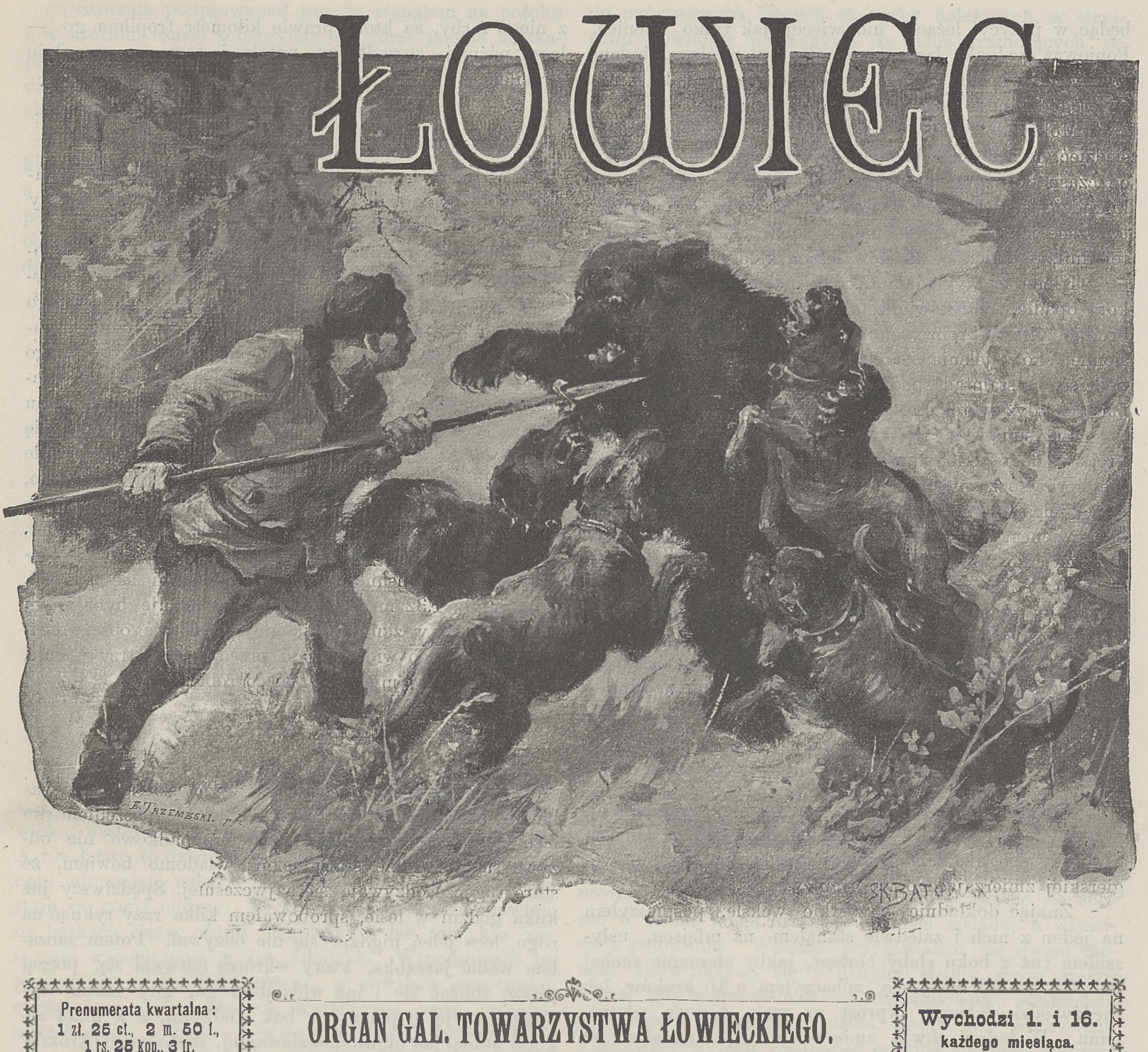
ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

WSPOMNIENIA Z GÓR.

Przebywając przez dwadzieścia lat w górach i od młodości oddając się z zamiłowaniem leśnictwu i myśliwstwu, (z tem ostatniem musi iść nieodzownie w parze gruntowna znajomość rewiru, chociażby i największego — z czego korzyść obustronna) — miałem dość czasu na różnego rodzaju spostrzeżenia i przygody podczas łowów, tak na małego jak i na grubego zwierza.

Ponieważ teraz właśnie jest czas rykowiska, więc nie przebywając wprawdzie w górach — ale siedząc przy stoliku, przenoszę się całą istotą w te urocze strony, gdzie tyle lat przebyłem i zdaje mi się, że słyszę jak najwyraźniej cały ten, dla myśliwego najcudowniejszy koncert, wykonywany co najmniej przez 100 sztuk jeleni, w Rafałowej. To wrażenie, jakie ten koncert na myśliwego wywiera — to uczucie, którego się wówczas doznaje, zwłaszcza na odgłos grubych kontrabasów starych rogali — nie możliwe jest do opisania i ten tylko może mieć prawdziwe pojęcie o tem, kto się osobiście tej muzyce z bliska i z daleka przysłuchiwał i kto się sam napatrzył tych wspaniałych koncertantów.

To też niektóre szczegóły z polowania podczas rykowiska stoją mi żywo w pamięci, jak n. p.:

Podchodząc ryczącego jelenia, w czasie dość ulewnego deszczu ze śniegiem, zbliżyłem się doń na 20 kroków, nie mogłem jednak nic widzieć prócz rogów, poruszających się z poza ogromnego wykrotu. Bliżej bałem się posuwać, tem bardziej, że powyżej mnie może o jakich 25—30 kroków była łania i dość często pokaszliwała — najzupełniej tak, jak owca domowa; przedemną zaś był mały, ale bardzo stromy parów a naokół gęsty młodnik. Położyłem się prawie na ziemi w nadziei, że może w jaki sposób zobaczę lepiej jelenia. W tej chwili ruszył jeleń ku parowowi i przeszedł koło mnie nie dalej, jak o trzy kroki, nie widziałem jednak

będąc w pozycyi leżącej nic więcej, jak tylko wieniec. Ponieważ jednak łania pozostała na miejscu, byłem pewny, że wkrótce i rogal wróci, co się jednak, mimo ćwierćgodzinnego oczekiwania nie sprawdziło.

Mokry do nitki i ziębnięty nie mogłem dłużej siedzieć, lecz słysząc jelenia odzywającego się niedaleko od czasu do czasu, począłem się sunąć za nim, a po kilkudziesięciu krokach wyszedłem na wolniejsze miejsce, tworzące jakby wyciętą linię, i zobaczyłem na końcu tej linii, o jakich 80 kroków leżącą kłodę.

Kłoda ta wyglądała tak jak suchy świerk, z którego kora opadła. Gdy świerk taki zmoknie, nabiera koloru brudno-żółtawo-bronzowego, bardzo podobnego do jesiennej skóry jelenia. Zamierzałem więc aż do tej kłody podejść, a stamtąd spodziewałem się już i rogala zobaczyć, gdyż w tej stronie porykiwał.

Przysunąwszy się krajem młodnika na jakich 20 kroków do tej kłody, zobaczyłem ciemniejszy pas na niej i równocześnie poznałem, że pas ten tworzył sam leżący jeleń — wychyliwszy się więc nieco zobaczyłem połowę wieńca, to też zmierzyłem prędko w komorę i wypaliłem. Po rozwianiu się dymu nie było nic, dopiero na drugi dzień znalazłem jelenia o jakich 800—1000 kroków dalej w potoku, pomimo, że kula przeszła płuca i zdruzgotała łopatkę. Ponieważ miał głowę ku mnie zwróconą, wnoszę na pewno, że musiał mnie podsuwającego się słyszeć, a że myślał, iż to łania sunie za nim — więc wytrzymał.

Innym razem siedziałem na granicy węgierskiej, przysłuchując się temu najprzyjemniejszemu z koncertów, gdy spostrzegłem grubego jelenia. po stronie węgierskiej zmierzającego ku granicy.

Znając dokładnie wszystkie weksle, pospieszyłem na jeden z nich i zaledwie stanąłem na miejscu, usłyszałem tuż z boku słaby chrzęst, jakby złamanie suchej gałązki, a obróciwszy się, zobaczyłem o 16 kroków łeb niedźwiedzi, patrzący wprost na mnie z poza wiatrołomu. W jednej chwili zmierzyłem i pociągnąłem za cyngiel, a gdy się dym usunął, nie widziałem ani słyszałem nic.

Na strzał przybiegł strażnik, (spłoszywszy po drodze nadchodzącego jelenia), poszliśmy na miejsce i znaleźli czteroletniego niedźwiedzia z roztrzaskaną czaszką, która po dziś dzień jest w moim zbiorze.

Podobne zdarzenie miałem pod połoniną „Taupy szirka“, gdzie stanąłem na uboczy gorganu — częściowo zarośniętej — by się dokładnie zoryentować, w którem miejscu odzywający się jeleń ryczy. Naraz usłyszałem odgłos poruszanych kamieni, oczywiście czyjąś stopą — było ono za słabe na jelenia, myślałem więc, że najprawdopodobniej mały niedźwiedź spaceruje. Czekałem z odciągniętymi kurkami, a w krótkim czasie pokazała się piękna siwa głowa wilka, najdalej o 25 kroków. Ponieważ myślałem, że obrany kierunek zatrzyma i w takim razie pokaże mi się cały, zwlekałem ze strzałem, lecz nagle zwrócił się i przez mgnienie oka widziałem bok jego. Wypaliłem kulą, zraniłem silnie i dużo uszło z niego farby, za którą prawie kilometr tropiłem go — lecz później zeszedł na potok, i tam go zupełnie straciłem.

W kilka dni później na tej samej połoninie zastałem około godziny 7 rano 4 pasące się jelenie, między którymi był jeden o bardzo silnych rogach.

Ponieważ trudno było na czystem polu na odpowiednią odległość podejść, położyłem się na ziemi i przyczołgałem na 217 kroków, skąd strzeliłem do jednego rogala. Po strzale trafiony jeleń upadł na brzuch i począł się czołgać, a inne 3 jelenie patrzały na niego najmniej przez 5 minut, ja zaś nie ruszałem się. Nareszcie opuściły swego towarzysza, jadącego na brzuchu uboczą w dół, lecz zanim tam dobiegłem, wsunął się już do lasu zagranicznego. Gdybym był zaraz po strzale doń podbiegł, byłbym go dobił i skorzystał z całego, tak jednak w kilka dni później przyniósł mi pastuch te same rogi, lecz czaszka była na dwie połowy rozbita, co, jak pastuch opowiadał niedźwiedź uczynił, który całego jelenia skonsumował, a nad rogami się pastwił. Rogi miały 1.32 m. wysokości. Nie żałuję bynajmniej za skórą, bo w zamian miałem sposobność obserwowania niezwykłego widoku, jaki przedstawiały trzy jelenie, nie wiedzące po mym strzale, co robić.

W dniu 8-go września 18., wziąwszy róg do wabienia, a względnie do droczenia jeleni, poszedłem do lasu ze strażnikiem słuchać, czy przypadkowo nie odzywa się już gdzie stary jeleń; wiadomo bowiem, że stare rogacze odzywają się najwcześniej. Spędziwszy już kilka godzin w lesie, spróbowałem kilka razy ryknąć na rogu, lecz jeleń nigdzie się nie odzywał. Potem zacząłem wabić jarząbka, który wkrótce odezwał się, począł pieszo zbliżać się i już widziałem go, gdy naraz wyciągnął szyję, popatrzył w bok i odleciał, a w kilka sekund stanął jak najniespodziewaniej, może na 60 kroków przedemną jeleń. Mając w jednej lufce kulę, strzeliłem, jeleń znikł, usłyszałem krótki łomot i zobaczyłem znowu jelenia, zdążającego znów wprost ku mnie wolno — przybliżywszy się na 40 kroków, upadł.

Strażnik siedzący obok, mówił mi, że jeleń po strzale upadł, ale znów się zerwał. Skonstatowałem, że kula uderzyła w sam środek kości rogowej (*Rosenstock*) część weszła w nią, reszta zaś rozpłaszczyła się i pozostała na wierzchu, gdzie tkwi do dziś dnia. Rogi te zdobią również mój zbiór.

Jeleń był dość duży, szesnastak, rogi grube ale krótkie, z tępymi i krótkimi parostkami. Musiał być stary, na co wskazują bardzo grube, krótkie nasady.

W części lasu „Woukan“ 20—30 letnim, bardzo gęstym młodniku, okalającym przestrzeń załamaną, ryczał już od kilku lat gruby jeleń, do którego niemożliwem było podsunąć się, więc nie było innej rady, jak puścić na niego gończaka.

Strażnik podprowadził psa, ja stanąłem na potoku i w krótkim czasie zobaczyłem na górze jelenia uciekającego. Pomiędzy łomami jednak stanął i po dwugodzinnej obronie — odpędził psa. To samo powtarzało się cztery razy w ciągu 6 dni.

Nareszcie pewnego ranka, wygramoliłem się z wielkim trudem na to miejsce, gdzie jeleń się zastanawiał, a w krótkim czasie wyskoczył i rogal, goniony przez psa. Przypatrywałem się dłuższy czas z ukrycia jego obronie, zawsze skutecznej wobec psa silnego i zajadłego, poczem walkę zakończyła — kula.

Peczeniżyn, 28. września 1902.

Martyniec.



Polowanie w Karpatach.

„*Omnia tempus habent*" mawiali Rzymianie, chcąc zwięźle wyrazić, że po młodocianym, pełnym uciech wieku, następuje z biegiem czasu nieunikniona starość. A nie łatwo to dźwigać brzemię starości, zwłaszcza gdy nogi odmawiają usług, gdy wzrok osłabnie, a oddech staje się coraz cięższy. W takich chwilach, lżej dźwiga na barkach ciężar ośmiu dziesiątków lat ten, kto zachował wspomnienia z lat młodych. Wspomnienia te przywołują na pamięć starcowi, w chwilach samotności obrazy i sceny, w których występował bądź czynnie, bądź biernie, a które wywołują u ludzi, przywykłych do powszedniości, uśmiech niedowierzania.

Spotka mię może zarzut ze strony czytelnika, że go w opowiadaniu mem częstuję „myśliwską łaciną", sądzę jednak, że przed zarzutem tym weźmie mnie w obronę Szan. Redakcya, która w tem samem pismie donosiła o cudach, dokonywanych przez głuszca w Trifail — co wszystko sprawdzili wiarygodni świadkowie.

Przez pięć lat byłem stacyonowany w Galicyi, a czas ten wyzyskałem bardzo przyjemnie, gdyż wszystkie pozasłużbowe godziny spędziłem na przebieganiu północnych stoków Karpat i ich podnóża, ze strzelbą na ramieniu. Czyniłem to, zwłaszcza w czasie wiosennych ciągów słonek i w jesieni.

Wkrótce przystąpiłem do Towarzystwa łowieckiego, które powstanie, organizacyę i statut miał do zawdzięczenia majorowi hr. Alexandrowi Pappenheimowi. Ten prawdziwy myśliwy, dzielny, elegancki jeździec, wysoko uzdolniony oficer, pełen rycerskiego animuszu, podówczas adjutant generała-zbrojmistrza, ks. Edmunda Schwarzenberga, potrafił skłonić swego, łowiectwo namiętnie kochającego szefa, do wydzierżawienia w r. 1851 trzech, do państwowych leśnych obszarów należących, w stryjskim obwodzie położonych, ze sobą graniczących rewirów.

W kompleksie tym, obejmującym 18.000 morgów (z tego siedm ósmych lasu, reszta pastwisk, bagien, szuwarem zarosłych moczarów) polowałem od jesieni r. 1854 do wiosny r. 1859, 84 razy w towarzystwie miłych kolegów rozmaitych stopni — gdyż od właściciela polowania począwszy, byliśmy wszyscy traktowani jako „*pares curia*", — nie licząc polowania na rogacze na podjazdy.

Z polowań tych utkwiły mi w pamięci dwa wypadki letargu, któremu uległy zwierzęta po celnych strzałach kulowych.

Pierwszy wypadek zaszedł ku końcowi śnieżnej zimy z r. 1855 na r. 1856, gdy polowałem w pobliżu Bolechowa, na dziki. Zawiadomiono nas, że wytropiono w rewirze „Taniawa" rudel dzików, między którymi był duży odyniec. Rudel ten odbywał wędrówkę wśród trzydziestoletniej, świerkowej gęstwiny, między którą były rozrzucone osiki, brzozy i cierniska.

Gdy ponadto wysoki na stopę śnieg zalegał teren, postanowił prowadzący polowanie zabranych na saniach naganiaczy użyć tylko do powstrzymania dzików, gdyby chciały się w tył cofnąć — zaś dwie sfory wprawionych jamników wypuścić na weksle. Ta część lasu miała 1000 kroków długości, a 450 kroków szerokości. Rozstawiono nas 14 myśliwych w ten sposób, że pięciu obsadziło front, trzej zostali w tyle, a po trzech miało bronić skrzydeł. Mniej więcej w 20 minut po zatrąbieniu na nagonkę, usłyszałem naszczekiwanie psów, które to milknąc, to znowu ujadając zbliżały się ku frontowi. W końcu usłyszałem kilka kroków odemnie łomot, potem znowu nastała bezwzględna cisza, po której odezwało się ponowne ujadanie jamników, i polowanie zaczęło się zbliżać w stronę mego drugiego z kolei sąsiada, a właściciela polowania. Właśnie przyglądałem się dwom sarnom, które ukazały się z drugiej strony mego stanowiska, gdy usłyszałem strzał na stanowisku właściciela polowania i zobaczyłem dzika, który, już postrzelony z gęstwiny wypadł i szukając oczyma strzelca, trzymał gwizd do góry wzniesiony, następnie zaś, wlokąc się powoli przez głęboki, miękki śnieg otrzymał w odległości 45 kroków drugą kulę za łopatkę od tego samego myśliwego i padł z dymem. Krótko kopał tylnemi nogami, wreszcie wspierając się na przedniej nodze zajął pozycyę, na pół siedzącą. Właściciel polowania zbliżył się doń i pchnął go silnie kordelasem, poczem dzik padł, lecz pomimo tego czynił wysiłki, aby powstać. Tymczasem sąsiad księcia Schwarzenberga, generał kawaleryi hr. Schlik, prawdziwy myśliwy, głośny strzelec, brodząc przez głęboki śnieg zbliżył się do dzika, a rzuciwszy nań okiem, zawołał do sąsiada: „Wybacz, drogi Edmundzie, że ja pchnę jeszcze raz twojego dzika" — przyczem wąski brzeszczot swego kordelasa wpakował dzikowi poza trzecie żebro. Dzik wywzajemnił się za otrzymane pchnięcie tak gwałtownem wyrzuceniem nóg, że generał zwalony na ziemię, padł jak długi. Tymczasem jucha, spływająca obficie z ryja dzika, świadczyła o końcu dzika.

Gdy myśliwi się zeszli, wypatroszono dzika, zawieszono na drzewie, odcięto testicula (wedle orzeczenia

znajdującego się w gronie myśliwych smakosza, smażone mają być znakomitym przysmakiem), nogi skrzyżowano i skrępowano powrozem. Dwom naganiaczom, silnym Rusinom, nakazano wlec dzika z pagórka i dowlec do sanek, które oczekiwały w oddaleniu 100 kroków, by przewieść ubitą zwierzynę. Grono myśliwych zeszło już tymczasem w dolinę, aby się udać w drugi miot, z drugiej strony doliny. Gdyśmy defilowali bardzo prymitywną ścieżką przez potok, zaczynający już tajać, usłyszeli myśliwi tworzący ariergardę orszaku, krzyki ludzi pozostawionych przy dziku, wzywające pomocy. Zawróciliśmy tedy, a w połowie drogi spotkaliśmy tych ludzi, wołających, że „dzik ożył“ i że za nimi dąży. W tych ostatnich słowach było nieco przesady, jakkolwiek bowiem dzik, gdy Rusini zdjęli zeń powróz, dźwignął się na nogi, to jednak powlókł się nie dalej, jak o 12 kroków i to z trudem. W każdym razie atoli przeświadczyliśmy się, przyszedłszy bliżej, że dzik wsparł się na przednich łapach, że podniósł odważnie gwizd i że w ogóle przybrał postawę, jakby się gotował do walki. Gdyśmy się zbliżyli na 30 kroków, chciał mój towarzysz strzałem w łeb wymierzonym uwolnić nieśmiertelnego odyńca od mąk przedśmiertnych, gdy tenże chyląc się na lewo najpierw, a potem na prawo, padł na stronę postrzeloną i tym razem skończył już na prawdę. Polowanie to było tem szczególniejsze z tego względu, że Dyana myśliwego, który położył „nieśmiertelnego dzika“ zaszczyciła jeszcze w inny sposób w tym dniu swymi względami. Oto w najbliższym miocie wypadł na jego stanowisko rudel z ośmiu warchlaków. Pierwszą kulą położył książę dwie sztuki, drugą kulą, trzecią.

Wynik tego polowania tem więcej ucieszył księcia, że oprócz niego nikt więcej nic nie ubił, gdyż zawieja śnieżna położyła kres dalszemu polowaniu.

Być może zresztą, że Dyana użyczając księciu szczególnych łask, chciała mu powetować niepowodzenia z trzech ostatnich lat, w ciągu których nie przywiodła mu przed lufę ani jednej sztuki zwierzyny.

Drugi wypadek, dość długo trwającego letargu obserwowałem następnej zimy, w rewirze Taniawa, na ubitym przezemnie lisie. Ostatni miot braliśmy na łazach, obszaru około 300 morgów, w których dwa stada dzików przebywały. Prowadzący polowanie umieścił mnie na dobrem stanowisku, to też prawie na pewne spodziewając się, że dziki wyjdą na mnie, już przy zajęciu stanowiska, nabiłem kulą ciągnioną lufę mej lefoszówki. Do wzięcia całego miotu — potrzeba było przy owoczesnych zaspach śnieżnych — dobrej półtorej godziny. Przed rozpoczęciem miotu przypomniano myśliwym, że pierwszy strzał może być dany tylko do zwierzyny, która ma prawo do kuli, a więc do dzika, niedźwiedzia, wilka i rysia. Miot mógł już trwać z pół godziny, gdy na jednem skrzydle padły, szybko po sobie, dwa strzały, a po nich rychło jeden na froncie.

Minutę później powitałem przemykającego się lisa przez ścieżkę, na 3 kroki szeroką — w odległości 30 kroków, kulą z mej lufy (16 kal.) tak, że padł z dymem.

Z głębi miękkiego, śnieżnego puchu, kiwnął mykita parę razy kitą w lewo i w prawo, poczem zdawało się, że życie zeń uszło.

Nim nagonka nadeszła, i naganiacze zaczęli się ukazywać na ścieżce, minęły dobre trzy kwadranse. W myśl przepisów regulaminu naszego stowarzyszenia mogłem dopiero teraz opuścić stanowisko, aby się zbliżyć i obejrzeć lisa. Podniosłem go za kitę w górę, by obejrzeć wylot kuli, która mu przeszła przez obie łopatki. Farba u wlotu i wylotu ścięła się pod wpływem mrozu (ścieżka leżała w cieniu). Rzuciłem lisa na śnieg a sam oczekując towarzyszy, usiadłem na myśliwskiem krzesełku, tuż obok mykity, oparłszy kolbę strzelby, z której naboje wyjąłem, na nim. Wtem uczułem tak silne szarpnięcie rzemienia, że mi strzelba omal z ręki nie wypadła. Lis ocknął się nagle z letargu, i musiałem mu zadać kilka potężnych uderzeń żelaznym końcem krzesełka, by go stanowczo wyprawić na tamten świat.

Mimowoli dałem się porwać wspomnieniom, które przeniosły mię w głąb przepaścistych lasów galicyjskiego łańcucha Karpat, gdzie przebywa tak różnorodna zwierzyna, jak w żadnej innej, europejskiej krainie, z wyjątkiem może jednego Siedmiogrodu. Prócz kozicy, koziorożca i muflona, są tam reprezentowane wszystkie rodzaje łownej zwierzyny.

Myśliwy, rozporządzający czasem i środkami pieniężnymi, któremu bogini Dyana jako tako sprzyja, może swe łowieckie zapiski wzbogacić znaczną liczbą rzadkich okazów. Lecz również i ten, który nie jest wybrańcem Dyany, a mam tu na myśli siebie samego, może bodaj w dziedzinie łowieckiej zoologii poczynić doświadczenia, któreby mu się nie nastręczyły w innych krajach.

Miejscowe wyobrażenia uważają niedźwiedzia, za niezgrabną, ociężałą masę, toteż nie przypisują zbytniej zręczności myśliwemu, który go trupem kładzie. Przeceniają natomiast rysia, dla jego chytrości i nadzwyczajnej bystrości wzroku. Prawdopodobnie zjednała mu ten rozgłos opera Mozarta„ Wolny Strzelec“, gdyż libretysta lejącemu kule, demonicznemu Kasprowi, każe, do niechybnie zabijającego ołowiu, dodać „oka rysiego“.

Doświadczenia atoli, które poczyniłem na obojgu zwierzętach, są wprost sprzeczne z panującemi wyobrażeniami.

Niedźwiedź ruszony, robi sążniowe skoki z lekkością zająca, zwraca się tak szybko, jak królik i nie jest wtedy łatwo posłać mu kulę śmiertelną. W ucieczce przeskakuje z łatwością pnie zwalone, wysokości cztech stóp. Jeżeli nie jest ani postrzelony ani raniony, umyka tak, jak każda inna zwierzyna.

W każdym razie jednak powinniśmy unikać strzału na sztych, bo nawet dobrze zaaplikowana kula rzadko kładzie silnego zwierza, który czasem atakuje bądź autora strzału, bądź jego, nie przygotowanego sąsiada. Najlepiej zrobimy, gdy przepuściwszy uciekającego niedźwiedzia, wpakujemy mu kulę za ucho lub poza łopatkę.

Zauważę tu, że słuch u niedźwiedzia jest o wiele bystrzejszy, niż wzrok; dlatego też kto jest niepewny strzału, a został zaatakowany przez niedźwiedzia, najlepiej zrobi, jeżeli się wcale nie będzie poruszał, lub gdy przypadnie do ziemi i wstrzyma oddech, niedźwiedź bowiem — jak mówią — „nie tyka nieświeżego mięsa“. Dowiedziałem się o tem od niejakiego p. Nahujewskiego. Był to myśliwy, z łowów niedźwiedzich w całej Galicyi rozgłośnie znany, który, gdym go poznał w r. 1855 ubił już był 79 sztuk. Doświadczenia tego nabył z własnej

praktyki, a dodaję tu, że ceniono go powszechnie dla jego prawdomówności.

Wszystkie te niedźwiedzie, z wyjątkiem trzech, dla których umyślnie urządził łowy -- ubił myśliwy ten w ten sposób, że jadąc na tęgim hucule, za pomocą dobrze tresowanych psów, wyszukiwał niedźwiedzie w ich legowiskach. Wtedy zsiadając z konia, pakował oszczekiwanemu przez psy niedźwiedziowi — ze swej niezawodnej jednorurki kapslówki — kulę w komorę. Jak mi opowiadano, raz jedyny zaatakował go w podobnym wypadku ciężko postrzelony niedźwiedź. Ocaliły go jego dzielne psy, gdyż zatrudniły niedźwiedzia przez czas, którego myśliwy do powtórnego nabicia strzelby potrzebował — a odstąpiły dopiero wtedy, gdy gotów był do strzału, którym ponowną kulę niedźwiedziowi głęboko wpakował i na ziemię go powalił. W 81 roku swego, groźnego dla niedźwiedziego rodu żywota, miał Nahujewski zabić 81go z kolei niedźwiedzia, lecz to był jego ostatni strzał.

Es. (*Weidmannsheil*).

Korespondencye.

Zakopane, 15. października 1902.

W dniu 2-go b. m. górale Sieczka i Szeliga, polując w Zubsuchem za Gubałówką, strzelali do białego lisa, którego ich suka goniła. Miał być cały biały, jak psy owczarskie liptowskie, tak że z powodu niespodzianego zjawiska chybili obydwaj.

Przed dziesięciu dniami pokazał się jeleń z łanią w małych laskach, a raczej potoczkach wsi Bańskiej, graniczącej z Białym Dunajcem. Jeleń postrzelony przez tamtejszego chłopa, uszedł farbując.

St. B.

Grojec, dnia 14. października 1902.

Zawiedzione nadzieje rolnika i myśliwego, wytrącają formalnie nieudolne pióro z ręki, bo trudno podzielić się z braćmi w św. Hubercie tak ujemnym wynikiem łowów tegorocznych, tem więcej, gdy całą zimę dokładało się starań, by wynik był pomyślniejszym, a lekka bezśnieżna zima, i kilka ciepłych dni w lutym, dobre widoki usprawiedliwiały. Tymczasem w marcu nastały zawieje i silne mrozy, a jakkolwiek z początkiem kwietnia śniegi znikły, to jednak ciągłe deszcze, zimno i silne przymrozki, trwające do końca maja, rozwiały złudne nadzieje. Z młodych zajęcy zaledwie silniejszy, bo starszy miot z lutego w części się utrzymał, marczaki i późniejsze wiosenne, prawie zupełnie skutkiem zimna i słoty wyginęły, a jeszcze obecnie w połowie października spotyka się dużo zajączków wielkości rękawicy.

Kuropatwy, których około 300 na obsadę zostawiłem, rozbiły się wprawdzie wcześnie w pary, lecz niestety do września przeważnie w parach pozostały, gniazda ich bowiem w niższych położeniach zatopione lub zaziębione, a zawiedzeni rodzice złączyli się znowu w stada, tak, że większość spotykanych stad, stanowią jałowe starki, a tylko bardzo nie liczne, szczupłe tegoroczne stadka, złożone z 3 do 7 sztuk, wielkości przepiórek i to w połowie października. W rewirze, gdzie rokrocznie około 250 do 300 sztuk kuropatw strzelałem, bez szkody dla obsady, w tym roku zaledwie trzydzieści kilka sztuk starych kogutów odstrzeliłem, zostawiając resztę na obsadę, w tej miłej nadziei, że może rok przyszły powetuje niedobór tegoroczny. Bażanty również nie dopisały, stada bardzo nie liczne i późne, zapewne z drugiego lęgu, obecnie jeszcze wielkości kuropatw. Sytuacyę ratowały jedynie kaczki, szczególniej podgorzałki, których przeszło 300 zabiłem i gdyby nie wcześniejszy spust stawów, zimna i deszcze, nie bardzo uspasabiające do brodzenia po wodzie, liczba ta z pewnością byłaby zdwojoną. A teraz dwa ciekawe zdarzenia dla ornitologów. Oto, polując z początkiem września łódką, na dużym 90-cio morgowym stawie, robię w lot dublet do krzyżówek, z których jedna, nie wyfarbowany kaczor, był przynajmniej raz tak duży, jak największa krzyżówka, jaką w życiu widziałem, a zabiłem ich z pewnością z tysiąc, i ważył przeszło 3 kilogramy. Przypuszczam, że był produktem skrzyżowania zwykłej krzyżówki, z olbrzymią kaczką swojską, nieznanego mi gatunku, których stada, własność mego dzierżawcy, po stawach tutejszych za narybkiem polują. Drugi niezwykły fakt, że ostrożny i dziki zimorodek, żywiący się według ornitologów wyłącznie rybami, przez dwa letnie miesiące przychodził codziennie przed okna moje i razem z drobiem i gołębiami pszenicę zajadał, a spłoszony przez przechodniów, wkrótce na to żerowisko wracał.

Do niezwykłych również wypadków należy i ten, że do rewiru tutejszego, prawie wyłącznie polnego i stawowego, bo posiadającego zaledwie do 250 morgów kultur leśnych i to w kilku oddzielnych parcelach i nie graniczącego zupełnie z większymi lasami, przyszło z początkiem września pięć jeleni tj. trzy łanie, szóstak i dwunastak, zapewne z lasów Pszczyńskich, o trzy mile odległości, oddzielonych rzekami Wisłą i Sołą. Jelenie te zatrzymały się w małej remizie 100 kwadratowych metrów obszaru, a wypłoszone przez robotników, poszły w sąsiednie zapusty, z wyjątkiem szóstaka, który szukał schronienia w szuwarze pobliskiego stawu, a znalazł tam śmierć z ręki mego sąsiada. Zaiste rzadki rezultat improwizowanych łowów, jak na tutejsze stosunki. Obecnie u nas, jakkolwiek w najlepszym sezonie, chwilowe zawieszenie broni; kaczki skutkiem spustu stawów, poszły w inne okolice, szukać żeru na stawach jeszcze niespuszczonych, kuropatw, ze względu na ich szczupły stan nie strzelam, a na zające jeszcze za wcześnie, bo pomijając już względy łowieckie, strzelony w orce i ziemiakach przed wyżłem szarak, nie daje żadnej przyjemności. Tak więc jedynie nieliczne i nie dotrzymujące kszyki i rogacz w zimowej już szacie, wyciągną czasem na parę godzin starego nemroda, nie wiele już bowiem

dni, w których na parostki liczyć można, a podobno nawet niektóre rogacze już zrzuciły.

Jan Chwalibóg.

Łowczyce, dnia 19. października 1902.

Od dwóch tygodni leżąc ciągle w łóżku, albo na odmianę na wygodnym fotelu, bo mi tak doktor nakazał, często przypominam sobie rozkosze, których używałem na rykowisku tego roku, i aby je odpokutować muszę teraz leżeć. Dziś dostaję *„Łowca“* — więc naturalnie ciekawy jestem, co tam o rykowiskach piszą. Widzę korespondencyę z Borynicz; myślę sobie, to ten protegowany przez Dyanę i inne boginie szczęśliwiec, siedm zabitych jeleni! Czytam — ale przyznać muszę, że zadziwiła mnie trochę ta korespondencya. Ale dla mego usprawiedliwienia z góry zaznaczam, że od kiedy mi lekarz każe spokojnie leżeć i powątpiewać, abym w ogóle przed zimą do czegoś był przydatnym, jestem w zgryźliwem usposobieniu i dlatego może na wszystko źle się zapatruję, i inaczej odczuwam. Proszę więc kochanego korespondenta i brata w św. Hubercie, jakoteż i wszystkich innego zapatrywania, aby za to, co tu wypowiem, na mnie nie gniewali się.

Podziwiam strzały kochanego korespondenta, każdy jeleń nie bliżej, jak na 200 kroków strzelany, w ogniu, prawie rulował, to jest rzeczywiście pewność strzału nielada podziwienia godna. Ale czy ze stanowiska myśliwskiego, to sprawozdanie jest też tak podziwienia godne? Ja myślę, że ten król borów naszych, wart jest tego, aby się trochę pofatygować, nim go się dostanie, a nie na 300 i 400 kroków do niego strzelać, i tak jak do tarczy punkta rachować. Przyznaję w pokorze ducha, że dla mnie jeleń, któregobym strzelał na 400 kroków, nawet gdybym go zabił, nie robiłby mi przyjemności. Muszę przyznać się, że największą rozkoszą dla mnie jest właśnie podchodzenie jelenia ryczącego, czy go zejdę na strzał możebny dla mnie 100—120 kroków, czy nie. Mam od dwóch lat Mausera z lunetą, z którym poluję na rykowisku; bije do 400 kroków na włos — noszę zawsze lunetę przy sobie, a jeszcze jej nigdy nie nastawiłem do jelenia, i to są skutki może, że o 6 do 8 jeleni mam mniej do zapisania, ale wcale tego nie żałuję, bo mi podchodzenie, nawet nieudane całkowicie, wynagradza ten ubytek.

Byłem tego roku na rykowisku, w kniei bardzo obfitej w jelenie i to przez 8 dni, mogłem pół tuzina słabszych jeleni od dziesiątaka począwszy zabić, a pomimo tego zabiłem tylko dwa, jednego czternastaka i jednego dziesiątaka, bardzo grubego (*zurückgesetzter*), jednego na czysto chybiłem. Przez tych 8 dni podchodziłem sześć najgrubszych jeleni — no, ale nie udało się z tymi starymi panami, którzy co tylko byli zaczęli swoje konkury. Ósmego dnia musiano mnie już prawie z góry znosić, bom sobie nogi pozrywał, ale pomimo tego nic tych trudów nie żałuję, bo ten król zwierzyny naszej, wart tego.

Kochany towarzyszu w św. Hubercie, nie bierz mi za złe tych słów kilku, bo w moim zgryźliwem usposobieniu może to tylko zazdrość ze siebie głos daje.

Jeszcze dla tych szanownych kolegów w św. Hubercie, którzyby może nie mieli sposobności tak się wydoskonalić w strzelaniu z lunetą, a którzyby pragnęli sobie to ułatwić, zauważę, że nim wynajdzie się sposób pewnego trafnego strzału, którymby można za górą stojące zwierzę na 2.000 do 5.000 metrów śmiertelnie trafić, naturalnie na podstawie optyki połączonej z reflektorami zwierciadlanymi — trochę utrudniona i skomplikowana manipulacya — są na razie w niemieckich czasopismach anonsowane różne przybory dla wygodniejszego i pewniejszego strzelania z lunetą, jak: nożyk dosyć mały nawet z podstawką do wbijania w drzewo, aby na tem strzelbę położyć i naturalnie trzeba przytem bardzo uważać, aby zwierz tej manipulacyi nie spostrzegł, boby uciekł; jest też laska na dwa metry długa, z trzech części składana, rozłożona, służy jako statyw, ale nie na aparat fotograficzny, tylko na strzelbę, a jak już bardzo dokładnie da się strzelać, to wziąć dwie takie statywy, no, i można kazać sobie nosić worek ze sieczką, albo plewą dla wygodniejszego oparcia strzelby, a wtedy nie potrzeba nawet już na strzelnicę iść, tylko ustawia się wszystkie te przybory i zaczyna się od 400 kroków strzelać jak do tarczy na strzelnicy, zapisując skrupulatnie punkta, z tą rożnicą tylko, że zamiast mechanicznej tarczy jest prawdziwy, żywy jeleń na zielonem tle.

H. St.

Uszew, dnia 21. października 1902.

Polowanie w Pieniakach u p. Tadeusza Cieńskiego, ściągnęło mimo niepogody liczny zastęp myśliwych ze wszystkich stron kraju. Słomki, te urocze ptaki, jesiennych polowań najpiękniejsza okrasa, nie dopisały w tym roku, stąd też zaledwie czwarta część zwykłego rozkładu osiągniętą została. Za to obdarzył nas św. Hubert lisami, których cyfra imponująca, 34, najlepiej rzecz ilustruje. Do tego dodajmy 3 dziki, 14 rogaczy, 86 zajęcy, 25 słomek, 2 kuropatwy i 3 drapieżce lotne, a największy nawet pesymista przyznać chyba musi, że polowanie się udało, zwłaszcza, że pogoda ciągle nie dopisywała, a deszcz, nieodstępny towarzysz tegorocznej jesieni nie opuszczał jej i tym razem. Strzelano także do orłów skalnych bez rezultatu, a odyniec zabity ważył 240 klg.; był to kolos, jakich mało dziś po świecie chodzi, a ma tam być jeszcze jeden większy, tak zwany „lustrator“, musiał on jednak wybrać się na lustracyę innych rewirów, bośmy się z nim nie spotkali.

A. Sumiński.

Dąbrowa, w październiku 1902.

Wygląda to trochę śmiesznie i ubogo pisać o rogaczach, wobec przepysznych opisów rykowisk jelenich w ostatnim numerze *„Łowca“* umieszczonych.

Ponieważ jednak zaledwie kilkunastu mamy szczęśliwych wybrańców losu, którym wolno przysłuchiwać się, tym wspaniałym koncertom karpackiego króla — barytona, więc proszę mi wybaczyć, że piszę o podjazdach na rogacze, zwłaszcza że jeden z nich odbył się w niezwykłych warunkach.

W początku sierpnia wybrałem się na podjazd do Hyżnego, majątku pana Kazimierza Jędrzejowicza, a przy tej sposobności pozwolił mi sąsiad Hyżnego p.

Maryan Jędrzejowicz zabić u siebie w Dylągówce jednego rogacza — jednego tylko, bo w zimie poluje z nagonką.

P. J., właściciel bardzo pięknego stada, urządził pod lasem na łące arenę z przeszkodami do galopowania młodych koni, więc też jego sarny bardzo są oswojone ze sportem hippicznym. Wyjechawszy na tę arenę, ujrzeliśmy 3 sztuki, w tem silnego rogacza; weszły w łan koniczyny i tam podjechaliśmy je na 100 kroków. Przygotowałem się do strzału, ale było to niemożliwe, bo rogacz był zajęty i w krótkim czasie pokrył kozę trzy razy — istotnie rekord do pozazdroszczenia — gdy wreszcie zabierał się do drugiej kozy i stanął mi na połeć, strzałem w komorę położyłem kres jego miłosnym zapędom.

Rogi miał niezwykle piękne: wysokość 28 cm., rozpiętość 18 cm., obwód rogów nad różą 9 cm., obwód róży 15 cm. — waga rożków 450 gramów.

Nazajutrz w dwóch podjazdach zabiłem w Hyżnem trzy rogacze, z których dwa z bardzo pięknymi rogami — jedne 27 cm. wysokości, 320 gramów wagi, drugie 26 cm. wysokości, 306 gr. wagi, trzeciego rogacza zabiłem w pełnym galopie, stary rogacz, z lichymi rożkami.

W początku lipca zabiłem trzy bardzo piękne rogacze na jednym wieczornym podjeździe w Radłowie pod Tarnowem, u p. Henryka Dolańskiego.

Rogi mają tam inny charakter od górskich, są niższe, i bogato uperlone, a barwę mają prawie czarną. Jeden z tych rogaczy, myłkus z lewym rogiem ku przodowi zgiętym i ułamanym, ma perły wewnętrzne stykające się z sobą, rożki ważą 350 gramów.

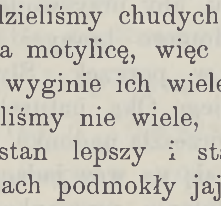
Żałuję, że nie mam aparatu i nie mogłem zrobić zdjęcia tych sześciu par rogów, które są ozdobą mojego zbioru. Wobec cen, jakie zagraniczni amatorowie płacą za ubicie rogaczy, staną się w niedalekiej przyszłości podjazdy za kosztowną zabawką i tak jakiś Belg dzierżawi jeden rewir w Radłowie, z prawem zabicia 30 rogaczy po 70 koron za sztukę, zwierzynę zaś zostawia właścicielowi, a w tych samych warunkach zabija także 30 rogaczy rocznie Francuz w Grębowie, powiecie tarnobrzeskim, w Tuszowie płaci ktoś jeszcze drożej, bo za 40 rogaczy po 80 koron, wkrótce więc po wytępieniu dzików, będziemy tylko do tarczy strzelali kulami.

Pierwsze polowanie w tym sezonie odbyło się u p, Stanisława Jędrzejowicza w Jasionce; padło 5 rogaczy, 10 lisów i 26 zajęcy, słonek było bardzo mało — 6 rogaczy chybiono, będą z nich myłkusy w roku przyszłym.

Dużo sarn widzieliśmy chudych, z żółtym włosem, zdaje się chorych na motylicę, więc ostrożnie z wybijaniem kóz, bo i tak wyginie ich wiele w tym roku.

Kuropatw mieliśmy nie wiele, tylko w okolicach piaszczystych był stan lepszy i stadka większe, zaś w rędzinach i glinkach podmokły jaja od słoty i tylko starki jałowe zostały. Zajęcy mało, także giną na motylicę, a wiosenny lęg wyginął od mrozów marcowych — smutny horoskop na tegoroczny sezon myśliwski.

Romuald Wojciechowski.



Sokołów, dnia 17. października 1902.

I w Sokołowie odbyło się polowanie na słonki, a jakże — tylko, że słonek nie było. W dwóch dniach 13 i 14 ubito w 7 strzelb: żbika, 5 słonek, 5 rogaczy, 2 lisy, 10 bażantów, 43 zajęcy i sowę uralską — mieliśmy jeszcze i trzeci dzień polować, ale kiedy wstałem rano — gości ani śladu, dowiedziałem się, że jeszcze w nocy wynieśli się cichaczem do miasteczka, tam każdy najął żydowską dryndulkę i w nogi — jedni do Lisowic — inni do miasteczka na winta, a jeden nawet na zgromadzenie wyborcze — cóż było robić — musiałem przyznać, że na ich miejscu niezawodnie to samo bym zrobił a jakże — a miałem najlepsze nadzieje — straż leśna od trzeciego przez tydzień panie dobrodzieju spotykała wszędzie słonki, zapowiadałem zatrzęsienie słonek — a jakże — a zblamowałem się gruntownie — pierwszego dnia ruszyliśmy 9, drugiego 2 słonek, pierwszy tedy transport poszedł — i to tak wcześnie jak nigdy — czy przyjdzie drugi, panie dobrodzieju, zobaczemy. Ale ja w Sokołowie — *wenn alle Stricke reissen*, przepraszam — jakby to po polsku powiedzieć — aha! to niby tak, jak gdyby naprzykład Korytowskiemu już nawet inspektorów podatkowych zabrakło — to wówczas prowadzę moich gości do miasteczka i tam między dworem, ratuszem, a urzędem pocztowym i telegraficznym — co prawda paręset kroków więcej na południe, w łozach, daję im żbika strzelać — trzy razy już to panie dobrodzieju powtarzałem i zawsze z dobrym skutkiem — jak mego pana Jaga (psa) kocham! ajakże! a no, bo co mi to szkodzi zrobić moim przyjaciołom tę małą przynajmniej przyjemność. Radzę ci, czytelniku dobrodzieju, jeżeli będziesz dawał polowanie, a będzie źle szło — zastosować ten mój wynalazek — zobaczysz, że i twoje goście, jeżeli — nie wszyscy — to niektórzy będą bardzo kontenci, a jakże! Jeszcze ci coś opowiem panie dobrodzieju — ale to już cichaczem — w sekrecie, żeby się z nas ludzie nie śmieli — oto raz tego lata melduje mi straż leśna, że w lasku trzystamorgowym — zwanym Krasne, spotkała jelenia — nie mogę publicznie powiedzieć, com jej na to odpowiedział — lasek położony na równinie — nad Sukielem, tymczasem teraz podczas polowania na słonki — wynosi w pewnym miocie na linię mój strzelec drzewko osikowe, pocharatane i obdarte z kory — dwóch takich rzeczoznawców, jak nasz Prezes Stadnicki i Wiceprezes Bielski orzekli, że to niezawodnie zabawka jelenia — za rok zatem, za dwa może będziemy ze słonkami i bażantami, strzelać nietylko żbika ale i jelenia — tylko to bieda wielka, że w owym czasie właśnie lubią karnawałować na rykowisku — ale a nuż się trafi jeleń asceta — pogardzający rozkoszami zmysłowemi — albo poeta, które nad nie przeniesie tęskną fujarkę pastuszka nad modrym Sukielem, lub pełną brawury trąbkę pocztarską pocztyliona, wiozącego do Sokołowa Gazetę Narodową, Śmigusa i funt świeżej słoniny — to wówczas...! a no wszystko jest możebnym na tym stryjskim świecie — a jakże!

Stanisław Matkowski.

Sokołów koło Stryja, 22. października 1902.

Rzeczywiście, że przelot różnych gatunków ptaków, jest tego roku niezwykle anormalnym. Główna partya słonek zdaje się przeleciała między 3 a 10 października, wówczas kiedy nikt, lub przynajmniej mało kto na nie polował — od tej pory nigdzie z wyjątkiem Bełskiego ich nie było — u mnie, na lesie podszytym żadnej, a na łozach dwie wszystkiego ruszono, za to błotnego ptactwa mnóstwo — szczególnie od początku października i co u nas jest rzadkością zwykle, dużo dubeltów, a dubelty lipcowe dotąd się plączą. Między 5 a 12 października zabił mój strzelec 14 dubeltów, a w jednym dniu sześć, z tego dwa lipcowe — dziś zaś przyniósł jeszcze jednego dubelta lipcowego — świat się do góry nogami przewraca, w październiku zamiast słonek przyleciały dubelty — cóż mi z tego, kiedy ja już po błotach chodzić nie mogę.

Stanisław Matkowski.



Zakopane, 25. października 1902.

Dnia 18-go października, w sobotę budzimy się rano wśród kompletnej zimy, okiść na smerekach ogromna, śnieg pada obfity do południa. Drzewa, które jeszcze nie straciły liści, połamane lub przygięte do ziemi. Trzeba brnąć po ulicach Zakopanego w śniegu powyżej kostek, lecz my już do tego przywykli; ubiera się jak na polowanie w buty wysokie, kurtkę i idzie każdy, gdzie go obowiązek woła.

Ponowa cudowna, jakby to ładnie można tropić zwierza w górach, gdyby tak znalazł się jaki myśliwy w zarządzie tutejszych dóbr, ale cóż, kiedy cyfry i atrament tak znieczuliły wzrok, że pisma zwierza na białym śniegu nie dostrzega. Tak sobie myślę, aż tu w poniedziałek, dostaję elektryzującą wiadomość: Proszę we wtorek być o 8-ej rano na leśniczówce, na Zazadniej, trzy niedźwiedzie otropione, dziki, jelenie i t. p. W duchu przeprosiłem tych panów za niesłuszne posądzenie o brak żyłki myśliwskiej, żyłka jest, tylko gdzieś głęboko schowana, bo dopiero niedźwiedź potrafi ją wygrzebać.

Przyjechawszy na miejsce rano, dowiadujemy się, że oprócz niedźwiedzicy z dwojgiem młodych, która przez dwa dni ciągle chodziła koło leśniczówki, czekając na myśliwych z Krakowa, jest jeszcze jeden niedźwiedź otropiony. Bierzemy najpierw na niego miot niewielkiej, kilkunastomorgowej świerczyny. Ustawiono nas na wąskiej, spadzistej i krętej ścieżce, tak, że nie każdy widzi swego sąsiada. Nie bardzo to rzecz bezpieczna, zwłaszcza, gdy się kulami strzela, ale trudno, sygnał trąbką dany, nagonka ruszyła; mój sąsiad z lewej schyla się, podgląda pod krzaczki, kiwa na mnie głową i rękami, czem mnie zirytował wcale niepotrzebnie, gdyż oprócz hałasu nagonki i bicia własnego serca, nic nie słyszę, a tem mniej widzę.

Po chwili, po prawej stronie powyżej pada strzał, niedźwiedź przeskakuje jak zając galopkiem przez linię, strzelam raz, drugi raz kłapię i niedźwiedź znika. Po miocie idziemy na trop, na pierwszym strzale trochę kudłów, drugi zadeptała nagonka, za tropem dalej gnój, farby ani śladu. Jeden myśliwy twierdzi, że jeżeli niedźwiedź nie zamruczał, to nie trafiony, drugi, że jeżeli puszcza gnój, to strzelony. Pan Z. powiada, że jego kulę ma między szynkami; dobrze niech ma, ale czemu nie farbuje? Będzie później, zostawmy go, leśny Gronikowski pójdzie za nim. Jeden z myśliwych prosi o kawałek papieru dla zabrania autentycznego gnoju niedźwiedziego na witerunek; na ofiarowaną puszkę ze sardynek powiada, że za mała.

Teraz wyłoniła się kwestya, dlaczego niedźwiedź przyszedł z góry, od stanowiska trzeciego myśliwego, a nie z dołu, gdzie go wpierw widziano. Pan W. przyznaje się, że niedźwiedź szedł do niego na sztych, aż na odległość dwóch kroków, poczem zobaczywszy go, skoczył w tył i wytknął na drugiego myśliwego. Dla czego nie strzelał było dla wszystkich rzeczą niepojętą.

Bierzemy następnie miot z niedźwiedzicą i młodymi; na końcu pada strzał; to młody praktykant leśnictwa strzelił do lisa, miot był zepsuty, gdyż nagonka opuściła część skrajną gąszczu, którym wymknęły się niedźwiedzie.

Na drodze do Morskiego Oka czekała na nas przekąska, przy niej siedząc i omawiając przebyte wrażenia, czekamy na Gronikowskiego i jego relacyę o strzelanym misiu. Przychodzi nareszcie zmachany i obcierając kark czerwoną chustką, powiada „że mu nic“, nie farbuje, ale jest otropiony. Trzeci miot był źle goniony, staliśmy z wiatrem, który nad wieczorem się zerwał, niedźwiedź się wyniósł zaraz, po ruszeniu nagonki miejscem, gdzie nikt nie stał — kręcił się ciągle bałamutnie, puszczał gnój i wrócił do właśnie gonionego miotu. Teraz narada, brać, czy nie brać jeszcze raz ten miot. Nie ma co robić, on przeszedł już dalej, późno jest, jedźmy do domu. Schodzimy w tym celu na dół na gościniec, tam jeszcze raz narada, ano trzeba trąbić, aby nagonkę zwołać, w tem na ten sygnał chłopy zaczynają gonić! Śmiejąc się i klnąc, rozbiegamy się czemprędzej po gościńcu, aby przyzwoitości stało się zadość, gdyż gonią miot dopiero brany i to z góry na dół, a część nagonki w poprzek. Słyszymy wóz jadący z gośćmi od Morskiego Oka, naturalnie nie ma co się bawić, byle prędzej przeszła nagonka, aby jechać do domu. Gronikowski gapi się na wóz jadący ku niemu, naraz słyszy z boku dudnienie przemykającego przez gościniec niedźwiedzia o dwadzieścia kroków od niego! Strzela dwa razy, pan Z. raz i niedźwiedź poszedł zdrów na Węgry, a my z długimi nosami wracaliśmy do domu.

Ponieważ niedźwiedzica z młodymi stale przebywała w tej okolicy mając dostateczną ilość owsa niezebranego w kilku miejscach, który śnieg przysypał, przeto postanowiono na drugi dzień na nią zapolować. Jakoż z rana widzieliśmy jej tropy o kilkadziesiąt kro-

ków od leśniczówki, chodziła jednak daleko i nie oparta się aż na Czerwonych Brzeżkach. Z powodu jednak pstrego pola, śnieg bowiem ginął, nieobcięta należycie, wyszła z miotu przed obstawieniem myśliwych. Widziano tropy jeszcze jednej niedźwiedzicy z jednem małem, a koło wodospadów Mickiewicza trop dużego niedźwiedzia. Zatem w tych dwóch dniach było siedm niedźwiedzi na stosunkowo niewielkim obszarze, jestto bowiem okolica, gdzie chętnie gawrują.

St. B.

Lwów, d. 29. października 1902.

Kuropatwa w śródmieściu. Już po raz trzeci donoszę o ciekawem tem zjawisku — a mianowicie o kuropatwie we lwowskim ogrodzie miejskim. Raz widziałem kuropatwę ciągnącą z ogrodu ku polu metropolitalnemu — drugi raz na wiosnę tego roku słyszałem kuropatwę wabiącą w środku ogrodu — przed kilku dniami zaś wypłoszył mój pies kuropatwę również w środku ogrodu.

M.



Sprawy Towarzystwa.

Odezwa do pp. Delegatów.

Nadszedł sezon polowań, podczas którego najłatwiej przychodzi zjednywać nowych Członków Towarzystwa — zwracamy się więc z prośbą do Szanownych pp. Delegatów, aby raczyli pamiętać w czasie zabawy myśliwskiej o Towarzystwie i zachęcali tych towarzyszy polowania, którzy członkami Towarzystwa jeszcze nie są, aby do niego wstępowali.

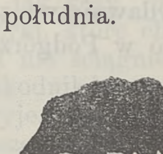
Prosimy bardzo usilnie wszystkich Szanownych pp. Członków Towarzystwa, którzy z zapłaceniem wkładek zalegają, a szczególniej tych, którzy winni są wkładki za dwa lub trzy lata, aby należytości te raczyli jak najrychlej uiścić i oszczędzić Zarządowi dalszego upominania.



Kalendarz łowiecki.



Śnieg lub szrony mroźne już zaczynają znaczyć tropy zwierza. Z ołowianych chmur spada deszcz jesienny, nieustanny, mgły ścielą się i wstrzymują obszerny widok, wiatr przeraźliwy wyje, chłód coraz bardziej dojmujący, a na św. Huberta już zwykle myśliwy cieszy się ponową i dobrem polowaniem. Jelenie i sarny po rykowisku przeszły do głębokich zwartych lasów. Niedźwiedź szuka gawry i trzyma się w pobliżu upatrzonego na nią miejsca. Dziki dobrze wykarmione żołędzią i bukwą w bagnistych leżą barłogach lub trą się o drzewa. Łatwo je teraz objechać i łatwe z nimi spotkanie. Chodzą w wielkich trzodach, bo i odyńce przyłączają się — zbliża się bowiem czas lochania się. Borsuk grzać się poczyna. Zając wraca do lasu, gdzie go już liść nie spłoszy, wilk wałęsa się po nizinach, lis myszkuje szczególniej w porze mglistej, po polach, zapędza się do kurników, a w dzień przebywa w gąszczach. Kuropatwy trzymają się w krzakach. Rogacze tracą rogi. Ustawa pozwala polować na wszystko z wyjątkiem jeleni. Nie wolno także polować na gołębie i przepiórki, które nawet tej ochrony ustawy naszej nie wymagają — a wzdychają za ochroną przed gościnnymi mieszkańcami południa.



Sprawozdanie targowe.

W Wiedniu płacą za zwierzynę: za zające K. 3.30 do 3.40 — za bażanty (koguty) K. 3 do 3.60 — za bażanty (kury) K. 2.40 do 3.20 — za młode kuropatwy K. 0.80 do 1.10 — za kaczki dzikie K. 0.90 do 2.00 — za kg. jeleniny K. 0.60 do 0.80 — za daniele mięso kg. K. 0.60 do 0.84 — za sarninę K. 1.40 do 1.60 — za mięso kozicy K. 0.60 do 0.70, za mięso dzika K. 0.60

do 0.80 — za mięso warchlaka K. 0.80 do 1.40. Dowóz zajęcy i kuropatw był w ostatnich dniach października niedostateczny — bażantów i kaczek było za dużo. Ceny rozumie się wraz z podatkiem konsumcyjnym — towaru żądają nienagannego.

LITERATURA.

Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach, dziełko nadzwyczaj pożyteczne, ułożone przez Dra J. Lamberga, lekarza wiedeńskiego ochotniczego Towarzystwa ratunkowego, ukazało się z kolei i w polskim przekładzie Dra P. Keplera w Podgórzu, w formacie książeczki oraz tablicy do rozwieszania na ścianie. Jako najodpowiedniejszą ocenę wydawnictwa, uważać należy słowa lekarza naczelnego i kierownika ochotn. Towarzystwa ratunkowego, Dra Charasa: „Z prawdziwą radością powitałem — pisze on — wydanie w formie tablic, najważniejszych reguł „pierwszej pomocy“. Autor dał w tem dziełku wyraz długoletniemu doświadczeniu, nabytemu jako nauczyciel szkoły samarytańskiej wiedeńskiego Towarzystwa ratunkowego — instytucyi, z której wyszła idea niesienia pomocy i która powinna być wzorem dla wszystkich państw postępowych. Każdy, kto pragnie bliźniemu w potrzebie nieść pomoc, znajdzie w tej książeczce pożyteczne rady i wskazówki. Życzę więc temu dziełku w interesie dobrej sprawy, jak największego rozpowszechnienia. Niechaj wiedza dania pierwszej pomocy, stanie się wspólnem dobrem ludzkości — dla pożytku naszych bliźnich, którzy doznali wypadku“.

„Pierwsza pomoc“ winna się znaleść w naszym kraju we wszystkich zakładach przemysłowych, fabrykach i szkołach ludowych, zwłaszcza, że cena jest nader przystępna, bo książeczka kosztuje tylko 1 kor. 20 hal., tablica zaś tylko 1 kor.

Główny skład wydawnictwa znajduje się w księgarni W. Poturalskiego w Podgórzu przy Krakowie.

Kronika.

Opieka nad zwierzyną. Zdając sprawę z 30-letniego okresu łowieckiego z rewiru Opeka, położonego na granicy Węgier, Kroacyi i Styryi (pod Warażdynem), przedstawia zarządca tego rewiru wykaz ubitej w tych 30 latach zwierzyny i udowadnia tym wykazem, jak dalece racyonalna opieka nad zwierzyną może jej stan podnieść. Rewir wynosi 3000 morgów, należących do dworu — i 12.000 morgów, wydzierżawionych od gmin. W r. 1872 zabito tam 870 zajęcy, 33 króliki, 63 bażanty, 2 jarząbki, 183 kuropatwy, 733 przepiórki, 76 kaczek, 208 słonek, 7 bekasów, 110 rozmaitej zwierzyny — razem 2.235 pożytecznej zwierzyny. W r. 1901 zabito 184 rogaczy, 3.904 zajęcy, 712 królików, 4.932 bażantów, 2 jarząbki, 2.203 kuropatw, 85 przepiórek, 61 kaczek, 11 słonek, 2 bekasy, razem 12.103 sztuk. W tym samym stosunku wzrosła liczba zabitych szkodników, a mianowicie z 3.513 sztuk na 15.456. Stały ubytek coroczny wykazują cyfry zabitych przepiórek i słonek — rzecz, którą niestety i u nas z żalem skonstatować przychodzi. Zarząd zamieszcza w swojem sprawozdaniu uwagę, że od lat dawnych nie ośmiela się ani jedna wrona lub sroka, a tem więcej jastrząb, wybudować gniazda w obrębie rewiru, pomimo tego jednak pada wron i srok obcych ponad tysiąc rocznie, jastrzębi i krogulców koło 160. Tchórzów zabijają lub łapią rocznie koło 100 — łasic koło 400 — w r. 1898 nawet 854.

Ilość zwierzyny w Czechach. Przeciętna roczna ilość zabitej w Czechach w ostatnich 25 latach zwierzyny przedstawia się następująco: 570.000 kuropatw, 500.000 zajęcy, 8.000 dzików, 10.000 sarn, 3.400 danieli, 25.000 dzikich królików, 800 głuszców, 4.200 cietrzewi, 41.000 bażantów, 12.000 przepiórek, 3.000 słonek, 15.000 wodnego, 50.000 błotnego ptactwa.

Austryjacki związek łowiecki. Dnia 10 lipca br. odbyło się w lokalu wiedeńskiego klubu łowieckiego posiedzenie komitetu wykonawczego związku łowieckiego, o którym była obszerna rozprawa na zeszłorocznem walnem zgromadzeniu naszego Towarzystwa. Przewodniczył ks. Karol Auersperg. Uchwalono liczne zmiany w pierwotnym regulaminie — następnie obniżenie wkładek dla tych Towarzystw łowieckich, które przystąpią do związku ze wszystkimi swoimi członkami, niektóre z nich bowiem posiadają znaczną ilość członków, ale nie rozporządzają takimi funduszami, żeby mogły większe kwoty jako wkładki opłacać. Następnie postanowiono przyznać głosy wirylne w Wydziale Towarzystwa dla krajowych Towarzystw łowieckich i dla wiedeńskiego klubu łowieckiego, nawet w tym wypadku, gdyby te towarzystwa nie przystąpiły jako członkowie do związku.

Prezydenci republiki francuskiej na polowaniu. Karol Laurent opowiada w *Matin* o wielkich oficyalnych polowaniach, jakie prezydenci republiki dają w październiku dla dygnitarzy państwowych i ambasadorów. Przy znanej skromności Loubeta nie wiele ma szersza publiczność do widzenia na tych polowaniach — ale goście prezydenta, który jest bardzo miłym gospodarzem, bawią się znakomicie. Nie zawsze jednak tak było — za czasów Mac Mahona i Feliksa Faure'a przyjemności te nie zawsze były niezamącone. Marszałek był nieświetnym strzelcem, a uważał sobie za obowiązek strzelać do wszystkiego, co tylko dojrzał — strzelał więc na lewo, na prawo, w tył, przed siebie. Wyrywał strzelbę z rąk strzelca, opisywał nią łuk i często jeszcze nie wymierzywszy, to jest w czasie opisywania tego łuku, spuszczał kurki. To też bardzo często sąsiedzi prezydenta otrzymywali nabój śrótu w kamasze, a często i po kubraku. Oficerowie ordynansowi z wielką gorliwością podejmowali się stawać na flance i na wszelki wypadek ubierali się bardzo „ciepło“. Za Grévy'ego śniadanie najważniejszą było polowania częścią. Stary adwokat lubiał dobrze zjeść, nieźle wypić i umiał być bardzo przyjemnym w towarzystwie. Strzelał spokojnie, wybierał lepsze sztuki i obserwował z ciekawością rosyjskich wielkich książąt, jak strzelali oni z przyrzutu a skutecznie. Za Carnota polowanie było bardzo ceremonialne — całe jego zachowanie się było równie *„comme il faut“* jak i jego *„dress“*. Uśmiechał się bardzo uprzejmie do gościa, który zrobił dobry strzał, sam często chybiał, ale nie żenowało go to wcale. Był to w każdym razie dzielny człowiek, który sam się nie bawił, ale chętnie widział bawiących się koło siebie. Casimir Périer polował niewiele w lasach państwowych — po jednym sezonie miał tego dosyć i — wziął dymisyę. Często sam,

z oficerem przybocznym lub którym z sekretarzy, wyjeżdżał na polowanie na kuropatwy i bażanty i zapomniał o troskach rządzenia Za czasów Faure'a przybrały odrazu polowania urzędowe inny charakter. Pan prezydent kochał się w wystawności i nietylko w salonach elizejskich wymagał, aby wszystko znajdowało się od niego w należytem oddaleniu — na polowaniu także przestrzegał tych przepisów. Pewnego razu zaprosił go jeden ze senatorów, posiadający piękne tereny do siebie na polowanie. Po powrocie z polowania, powitał synek senatora nadchodzącego prezydenta słowami: „Jak się panu prezydentowi powodziło na polowaniu?“ i otrzymał w odpowiedzi chłodny uśmiech i naukę: „Do prezydenta przemawia się moje dziecko, dopiero wtedy, gdy on sam się zapyta?“ Nielepiej udało się senatorowi Dupuy, który był nawet krótki czas członkiem gabinetu, podczas polowania w Rambouillet. Pierwszy bażant ciągnie nad nim — Dupuy strzela i spuszcza go na ziemię. Faure zwraca się do niego, wyjmuje fajeczkę z ust i mówi z uśmiechem: „Bardzo ładny strzał, panie senatorze, ale powinien pan wiedzieć, że przed prezydentem nie strzela się“. Ta zarozumiałość sprawiała, że naokoło niego robiła się próżnia. Sztywność ta jednak niknęła w jednej chwili, gdy na polowaniu znajdował się jaki obcy książę krwi. Wtedy ten gość przynajmniej był traktowany grzecznie i poufale. Po powrocie z Rosyi widać było, że Faure uważa się za dożywotnego prezydenta, konsula, a może i imperatora. Gdy raz chybił bażanta, a zdarzało mu się to rzadko, strzelał bowiem bardzo dobrze, zapytał się strzelca: „Czy kto widział, że strzelałem?“ Na odpowiedź strzelca, że niewątpliwie strzał widziano, zmarszczył brwi — i monokl spadł mu z oka. Nie znosił takiego niepowodzenia, które wobec podwładnych narażało sławę doskonałego strzelca.

Wabik zajęczy. Od starych myśliwych słyszało się nieraz o tem, jak zapomocą udanego kniazienia duszonego zająca sprowadzali sobie przed lufę rozmaite szkodniki, a w szczególności lisa. Niejeden z nas słyszał nawet doskonale udawane przez takiego myśliwego kniazienie zająca i to tylko z pomocą odpowiednio złożonej dłoni. Niemcy mają przyrządy do tego samego celu służące, i to kilka systemów, i jak twierdzą, osiągają z ich pomocą znakomite rezultaty w tępieniu drapieżników. Rzecz oczywista, że rezultaty takiego wabienia tylko wtedy są dobre, gdy wabiący doszedł do odpowiedniego stopnia doskonałości — złe wabienie odpędza drapieżnika. Powtarzamy tutaj słowa jednego z leśniczych z Hannoweru, który zachęcony przykładem innych myśliwych, postanowił posługiwać się tym wabikiem. „Przed kilku laty, mówi on, postanowiłem przystąpić do tępienia drapieżników z pomocą wabika zajęczego (Hasenquäke). Kupiłem sobie go — wyglądał z zewnątrz bardzo ładnie — ale ton wydawany przez niego nie był wcale obiecujący. Przy pierwszym obejściu rewiru wydobyłem go i „kniaziłem“ tak, że się aż las cały trząsł — nic się jednak nie pojawiło. Wracając ujrzałem na pastwisku kilka srok — schroniłem się za nasyp przydrożny i zacząłem wabić — sroki powyciągały głowy i za chwilę uleciały wszystkie w przeciwną stronę — nie widziały mnie, a jednak głos ten był im podejrzany. Po takich kilku próbach dałem za wygranę i odtąd zostawiałem wabik zawsze w domu. Dopiero po jakimś czasie zeszedłem się z jednym z moich kolegów, który miał opinię jednego z najlepszych tępicieli drapieżników i był znany jako doskonały wirtuoz na wabika — przyjął mnie z chęcią i za chwilę ukryliśmy się dobrze w najbliższym krzaku dębowym. Kiedym usłyszał pierwsze tony, jakie z wabika się wydobyły — pomyślałem sobie, że nie wiele z tej muzyki będzie pociechy. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy w tej samej prawie chwili pojawiło się kilka srok i zasiadłszy na najbliższym dębie, zaczęły skrzeczeć przeraźliwie: „Nie strzelać jeszcze, szepnął mi kolega, to jeszcze nie wszystko“. Jakoż za kilka minut mieliśmy nad głowami kilkadziesiąt srok, wron, kawek, gawronów, sojek... Rozpoczęło się strzelanie, każdy strzał zrzucał jednego ze szkodników, inne nie odlatywały, lecz sprawiały spadłemu „pogrzeb“ — dopiero gdy nam brakło już nabojów, skończyła się ta zabawa. Dwadzieścia ośm wron, cztery sroki i jedna sojka zostały na placu. Od tego czasu nie miałem spokoju. Na spacerze, na służbie miałem prawie ciągle wabik przy ustach i ćwiczyłem się. W kilka tygodni byłem już także wirtuozem. Wtedy dopiero przekonałem się, że wszystkie drapieżniki pędzą często na oślep na głos wabika, a więc wrony, sroki, sojki, jastrzębie, myszołowy, każda sowa, lis, borsuk, pies, kot, łasica, tchórz i w końcu *homo rusticus*. Robiło mi to wielką przyjemność, gdy zobaczywszy kota na polu, ukryty za krzakiem zaśpiewałem mu piosnkę o duszonym zającu — kot biegł wtedy galopem i wpadał mi prawie pod nogi — zdziwienie jego było nie mniejsze niż przerażenie, gdy zamiast zająca ujrzał człowieka, pełnego jak najlepszych dla niego zamiarów. Dużo kotów w ten sposób zginęło. Raz stałem w towarzystwie jednego z moich kolegów w niewysokiej sośninie. Niedaleko skrzeczały sroki, na które w tej chwili zawabiłem. Zaledwie się kniazienie rozległo, słyszymy jakieś gwałtowny hałas niedaleko, jakby cały rudel dzików przez gąszcze się przedobywał. Za chwilę pojawia się poczciwy chłopek, z patykiem w ręku, gotów skrócić męczarnie zająca. Zobaczywszy nas nieledwie że nie upadł na kolana ze strachu. Zrewidowaliśmy mu kieszenie, ale ta rewizya i rewizya pobliskich krzaków nie dała żadnych rezultatów. Wybrał się oczywiście „na grzyby“. Musieliśmy go zdrowo puścić — sądzę jednak, że go już na wabik nigdy „nie weźmie“. Raz znowu zawabiłem w bliskości drzewa, które było stałem miejscem noclegu dla wron i gawronów. Skryty byłem w krzaku tak, że mnie ani z boku, ani z góry widzieć nie można było. W kilka chwil miałem tyle tego hultajstwa nad sobą, że faktycznie niebo zasłaniały. Coraz niżej zaczęły one mi przelatywać nademną i w końcu, gdy już kilka metrów były mi nad głową, stało się coś niespodziewanego. Każdy z przelatujących ptaków nad moją głową opuszczał na mnie coś, co niekoniecznie było przyjemne. Za dużo mi było tego w końcu — wyskoczyłem i wypaliłem z obu lub w najgęstszy wir ptasi. Posypało się parę ptaków na ziemię — reszta z wielkiem krakaniem odleciała na wszystkie strony. Na głos kniazienia przychodzi także zając — po największej części jest to samiec — niekiedy jednak przychodzi samica od młodych, myśli bowiem, że to jedno z jej młodych ginie i pomimo przysłowiowego tchórzostwa wiedziona miłością rodzicielską spieszy z pomocą. Ciekawością wiedzione zbliżają się także małe i niewinne ptaszki, jak kosy, drozdy, sikory — przychodzą także wiewiórki, które chyba żaden inny interes prócz ciekawości nie ściągnie. Za pomocą wabika można całe masy szkodników wytępić, jeżeli się tylko myśliwy dobrze ukryje, tak żeby go zupełnie widać nie było. Jeżeli się jeszcze po ziemi uderza kijem, naśladując rzucanie się ginącego zająca, wtedy, szczególniej wrony, bez pamięci lecą. Bardzo łatwo daje się zwabić sowy, które zaraz za pierwszem zawabieniem nadlatują i na najbliższej gałęzi siadają. Sowy jednak powinno się oszczędzać, oczywiście nie wszystkie, ale w każdym razie przeważną ich część uważać musimy za pożyteczne. Według mojego zdania wabik zajęczy jest dla każdego myśliwego i hodowcy niezbędnym; nie powinno się szczędzić trudu, aby nabyć odpowiedniej wprawy w wabieniu, bo ten niewielki trud sowicie się opłaci. Wabienie na dłoni, paznogciu, albo samemi ustami, jak to niektórzy myśliwi umią, ma tę dogodność, że w razie potrzeby można zawabić w tej chwili i nie trzeba szukać wabika po kieszeniach lub w torbie. Poszukiwania te mogą być często bezowocne, gdy się wabika zapomniało, a w każdym razie bardzo często mogą opóźnić zawabienie, i pozwolą ominąć bez skutku dobrej sposobności ubicia jakiegoś drapieżnika“.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).

DO SPRZEDANIA:

para psów gończych (Dachsbracke), suka w drugiem, pies w pierwszem polu. Bardzo dobre i wytrzymałe. Cena za parę 100 koron. Zgłoszenia N. N. Nawojowa.

DZICZYZNĘ kupuje w każdej ilości, handel pod „Palmą“, Jana Borysa, Przemyśl.

Zarząd dóbr Ossowce, poszukuje puhacza zdatnego do polowania — poczta w miejscu.

Kalendarz myśliwski leśny i rybacki na r. 1903, już opuścił prasy drukarskie. Zawiera obfity dział myśliwsko-leśniczy. — Do nabycia u p. A. Dzikowskiego, ul. Karola Ludwika l. 1.

LEŚNICZY z egzaminem państwowym, dobremi świadectwami, 13-toletnią praktyką, dobry myśliwy, poszukuje posady. Łaskawe zgłoszenia pod adresem: Łazarowicz, Wasłowce p. Kuczurnik Bukowina.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.